

Autorka bestsellera Kwiat Śniegu i sekretny wachlarz

LISA SEE

DZIEWCZĘTA Z SZANGHAJU



Świat Książki

Tytuł oryginału
SHANGHAI GIRLS

Konsultacja naukowa
Małgorzata Religa

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna
Jerzy Lewiński

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Irena Kulczycka
Jolanta Rososińska

Copyright © 2009 by Lisa See
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.
Warszawa 2010

Świat Książki
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-2054-5
Nr 45028

Spis treści

Od Autorki

Część pierwsza LOS

Piękne dziewczęta

Mężczyźni ze Złotej Góry

Cykada na drzewie

Białe kwiaty śliwy

Księżycowe siostry

Wzlot w nocne niebo

Jedząc wiatr, smakując fale

Cienie na ścianach

Wyspa Nieśmiertelnych

Siostry krwi

Część druga FORTUNA

Pojedyncze ziarnko ryżu

Marzenia o orientalnym romansie

Zapachy domu

Łykając gorycz, żeby znaleźć złoto

Nawet najlepszy z księżyców

Część trzecia PRZEZNACZENIE

Haolaiwu

Migawki

Dziesięć tysięcy szczęść

Powietrze tego świata

Strach

Wiecznie piękne

Uncja złota

Domino

Bezkresny ocean ludzki

Kiedy posiwieją nam włosy

Podziękowania

*Kuzynce Leslee Leong
wraz ze mną strażnicze pamięci*

Od Autorki

Akcja *Dziewcząt z Szanghaju* toczy się w latach 1937–1957. Czytelnicy czasami znajdują w tej książce określenia niepoprawne politycznie – jak to się dziś mówi – ale w swoim czasie były w użyciu. Przy transkrypcji wyrazów z języka chińskiego – zarówno mandaryńskich, kantońskich, jak i z dialektów *sze yup* i *wu* – posłużyłam się systemem Wade’a-Gilesa, bo wtedy właśnie obowiązywał*.

Jeśli chodzi o walutę, do listopada 1935 roku w Szanghaju był nią srebrny dolar; chińskiego juana wprowadzono po 1935 roku. Miały one mniej więcej taką samą wartość. Postanowiłam trzymać się dolarów i centów, bo były jeszcze w obiegu i są bliższe czytelnikom z Zachodu. Za srebrnego dolara (albo juana) płacono wtedy trzysta-trzysta trzydzieści miedziaków.

* System Wade’a-Gilesa dotyczy tylko języka mandaryńskiego. W okresie, w którym toczy się akcja powieści, był najpopularniejszy w literaturze angielskojęzycznej. Inne dialekty: kantoński, *sze yup* i *wu* (szanghajski) rozwinęły się w transkrypcji popularnej wśród ich amerykańskich użytkowników (przyp. konsult.).

Część pierwsza

LOS

Piękne dziewczęta

Z tymi czerwonymi policzkami nasza córka wygląda jak chłop z południa Chin – narzeka ojciec, celowo nie zwracając uwagi na stojącą przed nim żupę. – Nie możesz coś z tym zrobić?

Mama patrzy na Babę, ale co może powiedzieć? Mam całkiem ładną buzię – niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że śliczną – ale nie tak świetlistą jak perła, której imię noszę. Łatwo się rumienię. Poza tym moje policzki szybko się opalają. Kiedy skończyłam pięć lat, matka zaczęła smarować mi twarz i ramiona kremami z macicy perłowej, a także dosypywać zmielonych pereł do *jooka* – owsianki – który jadałam na śniadanie, bo miała nadzieję, że w jakiś sposób wybielą mi skórę. Bezskutecznie. I teraz też płoną mi policzki, co zawsze tak denerwuje ojca. Kulę się na krzesło. Zawsze to robię, gdy jest w pobliżu, ale kulę się jeszcze bardziej, gdy Baba przynosi wzrok z mojej siostry, żeby spojrzeć na mnie. Najbardziej ma mi za złe, że jestem wyższa od niego. Mieszkamy w Szanghaju, gdzie największy samochód, najwyższy mur czy najwyższy budynek świadczą dobitnie, w sposób niepodważalny, że ich właściciel jest kimś bardzo ważnym. A ja nie jestem kimś ważnym.

– Wydaje jej się, że jest taka mądra – mówi dalej Baba. Ma na sobie dobrze skrojony garnitur w stylu zachodnim. W jego włosach widać zaledwie kilka pasemek siwizny. Ostatnio chodzi podenerwowany, ale dzisiejszego wieczoru jest w jeszcze gorszym humorze niż zazwyczaj. Może zawiódł go koń podczas gonitwy albo w grze w kości zaprzepaścił szansę na wygraną. – Ale to akurat nie jest z jej strony zbyt mądre.

To kolejny typowy zarzut ojca pod moim adresem, zresztą pochodzący od Konfucjusza, który powiedział: „Wykształcona kobieta to kobieta bezużyteczna”. Ludzie uważają mnie za dziewczynę czytającą, co nawet w roku 1937 nie uchodzi za zaletę. Ale chociaż naprawdę jestem inteligentna, nie umiem się bronić przed krytyką ojca.

Większość rodzin jada przy okrągłym stole, bez kantów, żeby stanowić jedność, być razem. My mamy kwadratowy stół z drewna tekowego i zawsze siadamy na tych samych miejscach: ojciec obok May po jednej stronie, a matka naprzeciwko młodszej córki, tak by oboje rodzice mieli ją blisko siebie. Przy każdym posiłku – dzień po dniu, rok po roku – przypomina mi to, że nie jestem ich ulubienicą i nigdy nią nie będę.

Gdy ojciec dalej wytyka mi wady, wyłączam się i udaję zainteresowanie naszą jadalnią. Na przylegających do kuchni ścianach zwykle wisiały cztery zwoje przedstawiające pory roku. Dziś je zdjęto i pozostały po nich jedynie ciemne zarysy. Nie tylko ich brakuje. Kiedyś mieliśmy też wiatrak, ale w zeszłym roku Baba uznał, że w czasie posiłku powinni wachlować nas służący. Nie ma ich tego wieczoru i w pokoju panuje duchota. Zwykle jadalnię oświetlają żyrandole w stylu art déco i dobrane do nich kinkiety z trawionego żółto-różowego szkła. One też zniknęły. Nie zastanawiam się nad tym specjalnie, bo wydaje mi się, że zwoje zostały zdjęte, aby ich jedwabne brzegi nie zwijały się od wilgoci, że Baba dał służącym wolne tego wieczoru, aby mogli zabawić się na weselu czy urodzinach w gronie krewnych, a żyrandol i kinkiety zabrano do umycia.

Kucharz – który nie ma żony ani dzieci – zabiera ze stołu wazę z zupą i wnosi na półmiskach krewetki z piniklem słodkim, duszoną wołowinę w sosie sojowym z suszonymi warzywami i pędami bambusa, węgorza gotowanego na parze i warzywa „osiem skarbów”, a do tego ryż. W tym upale nie mam jednak apetytu. Wolałabym kilka łyków schłodzonego kwaskowatego soku śliwkowego, słodki chłodnik fasolowy z miętą albo bulion ze słodkich migdałów.

Kiedy Mama mówi: „Wikliniarz policzył sobie dziś strasznie dużo za naprawę koszyków”, od razu się odprężam. Jeśli po ojcu można się spodziewać, że znowu zacznie mnie krytykować, to po matce – że skrupulatnie wyliczy swoje codzienne bolączki. Wygląda jak zwykle

elegancko. Włosy spięte w kok u nasady karku przytrzymywane są na miejscu bursztynowymi spinkami. Suknia, *cheongsam*, z ciemno-granatowego jedwabiu o rękawach do łokci, pasuje krojem do jej wieku i pozycji. Nadgarstek ozdabia rzeźbiona bransoleta z jednej bryły pięknego nefrytu. Jej znajome postukiwanie o brzeg stołu brzmi uspokajająco. Mama ma skrępowane stopy i pod wieloma względami jest równie tradycyjna. Wypytuje nas, co nam się śniło, ważąc znaczenie wody, butów czy zębów jako złych albo dobrych znaków. Ponieważ wierzy w astrologię, chwali albo gani May i mnie za to czy owo, biorąc pod uwagę znaki zodiaku, pod którymi się urodziłyśmy – siostra w roku Owcy, a ja Smoka.

Mamie dobrze się żyje. Jej zaaranżowane małżeństwo z ojcem wydaje się dość spokojne. Ranek poświęca na lekturę buddyjskich sutr, potem jedzie rikszą na lunch z przyjaciółkami, aż do wieczora gra w madżonga i wraz z innymi paniami o podobnej pozycji towarzyskiej narzeka na pogodę, opieszałość służby i nieskuteczność ostatnich medykamentów na czkawkę, podagrę czy hemoroidy. Tak naprawdę nie ma się na co skarżyć, ale jej gorycz i ciągle niezadowolenie znajdują odbicie w każdej historii, jaką nam opowiada. „Nie ma szczęśliwych zakończeń” – mawia często. Ale jest piękna, a jej drobny chód przypomina kołysanie się bambusa w wiosennych powiewach wiatru.

– Ten leniwy służący sąsiadów tak obchodził się z nocnikiem rodziny Tso, że zasmrodził całą ulicę – mówi Mama. – A kucharz! – Syka z dezaprobatą. – Kucharz podał nam tak stare krewetki, że przez ten ich zapach odechciało mi się jeść.

Nie chcę jej się sprzeciwiać, ale źródłem smrodu, w którym wszyscy się dusimy, nie jest ulana zawartość nocnika ani jednodniowe krewetki, tylko ona sama. Ponieważ nie ma służby, która by nas wachlowała, powodując ruch powietrza w pokoju, woń krwi i ropy przesiąkających przez bandażę ściskające jej małe stopy powoduje, że zbiera mi się na wymioty.

Mama wciąż wylewa swoje żale, gdy włącza się Baba:

– Dziewczęta, nigdzie dziś wieczorem nie wychodźcie. Muszę z wami porozmawiać.

Zwraca się do May, która patrzy na niego i uśmiecha się w ten

swój czarujący sposób. Nie jesteśmy złymi dziewczętami, ale mamy swoje plany na wieczór i nie należy do nich słuchanie wykładu Baby o tym, że zużywamy za dużo wody podczas kąpieli i nie wyjadamy ryżu z naszych miseczek do ostatniego ziarenka. Zwykle Baba reaguje na urok May, odpowiadając jej uśmiechem i zapominając o swoich troskach, ale tym razem mruga kilkakrotnie powiekami i spogląda swoimi czarnymi oczami na mnie. Znowu kulę się na krześle. Czasami myślę, że to jedyna autentyczna forma, w jakiej wyrażam szacunek do ojca – robiąc się przy nim malutka. Uważam się bowiem za nowoczesną szanghajską dziewczynę. Nie wierzę w te wszystkie teorie o posłuszeństwie, posłuszeństwie i jeszcze raz posłuszeństwie, które rzekomo wpajano dziewczętom w przeszłości. Ale nie da się ukryć faktu, że May – chociaż ją uwielbiam – i ja jesteśmy tylko dziewczętami. Nie przekazemy nazwiska rodowego następnemu pokoleniu i nikt nie będzie czcił naszych rodziców jako przodków, kiedy przyjdzie czas. Moja siostra i ja jesteśmy ostatnie z rodu Chinów. Gdy byłyśmy małe, nasz brak wartości przejawiał się w tym, że rodzice nawet nas nie kontrolowali. Nie byłyśmy warte wysiłku ani zachodu. Później zdarzyło się coś dziwnego: rodzice zakochali się – pełną oddania, ślepą miłością – w młodszej córce. To pozwoliło nam się cieszyć pewną swobodą i w efekcie przejawy zepsucia mojej siostry są często ignorowane, podobnie jak nasze wspólne lekceważenie zasad i obowiązków. To, co inni mogliby uznać za nieposłuszeństwo i brak szacunku, my nazywamy nowoczesnością i nieskrępowaniem.

– Nie jesteś warta nawet miedziaka – ostrym tonem mówi do mnie Baba. – Sam nie wiem, jak w ogóle zdołałem...

– Och Ba, daj spokój Pearl. To szczęście mieć taką córkę. A jeszcze większe... taką siostrę.

Wszyscy zwracamy się ku May. Taka właśnie jest. Gdy się odzywa, nie sposób jej nie słuchać. Kiedy jest w pokoju, nie sposób na nią nie patrzeć. Wszyscy ją kochają – nasi rodzice, riksarze, którzy pracują u ojca, misjonarki, które uczą nas w szkole, artyści, rewolucjonisci i cudzoziemcy, których poznawałyśmy w ostatnich kilku latach.

– Nie zapytasz mnie, co dzisiaj robiłam? – rzuca May, a to pytanie jest lekkie i śmiałe jak ptasie skrzydła podczas lotu.

Wraz z nim znikam z pola widzenia rodziców. Jestem wprawdzie

starszą siostrą, ale pod wieloma względami to May sprawuje opiekę nade mną.

– Wybrałam się na film do Metropole, a potem poszłam na Avenue Joffre, żeby kupić sobie buty – ciągnie. – A stamtąd było już niedaleko do sklepu Madame Garnet w hotelu Cathay, więc pomyślałam, że odbiorę moją nową sukienkę. – May przybiera lekko niezadowolony ton. – Ale Madame Garnet powiedziała, że nie da mi jej, chyba że przyjdę z którymś z was.

– Dziewczyna nie musi mieć co tydzień nowej sukienki – zauważa delikatnie Mama. – Mogłabyś pod tym względem brać przykład z siostry. Smokowi nie zależy na falbankach, koronkach i kokardkach. Pearl jest na to zbyt praktyczna.

– Babę na to stać – odcina się May.

Ojciec zaciska szczękę. Czyżby moja siostra powiedziała coś nie tak, czy znowu będzie mnie krytykował? Już otwiera usta, żeby zabrać głos, ale May nie daje mu dojść do słowa.

– Dopiero siódmy miesiąc, a upał jest już nie do wytrzymania. Baba, kiedy wyślesz nas do Kunmingu*? Chyba nie chcesz, żebyśmy z Mamą się rozchorowały, prawda? Latem w mieście robi się bardzo nieprzyjemnie, a w górach o tej porze roku zawsze czujemy się tak dobrze.

May taktownie nie wspomina o mnie. Wolę pozostawać w cieniu. Ale całe to jej szczebiotanie to tylko wybieg, żeby odwrócić uwagę rodziców. Siostra porozumiewawczo patrzy mi w oczy, prawie niezauważalnie kiwa głową i szybko wstaje.

– Chodź, Pearl. Musimy się przygotować.

Odsuwam krzesło, wdzięczna, że zostałam wybawiona od niechętnych komentarzy Baby.

– Nie! – Ojciec uderza pięścią w stół. Naczynia podskakują z brzękiem. Mama wzdryga się ze strachu. Zastygam w miejscu. Ludzie na naszej ulicy podziwiają ojca za jego zmysł do interesów. Jest ucieleśnieniem marzeń wszystkich mieszkańców Szanghaju, zarówno tu urodzonych, jak i tych, którzy zjechali do tego miasta z całego świata

* Kunming – miasto w południowo-zachodnich Chinach, na Wyżynie Junnańsko-Kuejczouskiej. Jest stolicą prowincji Yunnan. Leży na północnym brzegu jeziora Dian. Ze względu na klimat często nazywane wiosennym miastem (przyp. tłum.).

w poszukiwaniu szczęścia. Zaczynał od niczego, a wraz z rodziną osiągnął taką pozycję. Przed moim urodzeniem prowadził w Kantonie wynajem rikszy, ale nie jako właściciel, tylko podnajemca: wypożyczał od kogoś riksze za siedemdziesiąt centów dziennie, a potem za dziewięćdziesiąt centów odnajmował je mniejszemu przedsiębiorcy, który następnie odnajmował je riksarzom za dolara. Gdy już zarobił odpowiednią sumę, przeniósł się do Szanghaju i otworzył tu własny interes z riksami. „Większe możliwości” – mawia z upodobaniem, pewnie jak milion innych ludzi w tym mieście. Baba nigdy nam nie opowiadał, jak konkretnie doszedł do takiego majątku ani w jaki sposób wykorzystał te możliwości, a ja nie śmiem pytać. Wszyscy wiedzą – nawet w rodzinach – że lepiej nie zagłębiać się w przeszłość, bo każdy, kto mieszka w Szanghaju, przed czymś tu zbiegł albo ma coś do ukrycia.

May to wszystko nie obchodzi. Patrzę na nią i wiem dokładnie, co chce powiedzieć: „Nie mam ochoty słuchać, że nie podobają ci się nasze fryzury. Nie mam ochoty słuchać, że nie życysz sobie, abyśmy odślaniały ramiona czy nogi. Nie, nie chcemy podjąć »normalnej« pracy. Może i jesteś moim ojcem, ale mimo że podnosisz głos, słaby z ciebie człowiek i nie będę cię słuchać”. Zamiast tego tylko pochyla głowę i patrzy na Babę w taki sposób, że staje się wobec niej całkowicie bezbronny. Nauczyła się tej sztuczki już jako małe dziecko i z czasem ją udoskonaliła. Jej swoboda, niewymuszony sposób bycia zmiękcza ją każdego. Na ustach May pojawia się lekki uśmiech. Poklepuje ojca po ramieniu. Jego wzrok przyciągają paznokcie córki, zabarwione jak moje na czerwono przez nakładanie kolejnych warstw soku z kwiatów drzewa balsamowego. Dotykanie się nawzajem – nawet w rodzinach – nie stanowi tabu, ale też nie jest w pełni akceptowane. W porządnej rodzinie nie ma całowania, uścisków, poklepywania dla okazania sympatii. May jednak dobrze wie, co robi, gdy dotyka ojca. Odwraca uwagę Baby i korzystając z oburzenia, jakie wywołał u niego ten gest, próbuje odejść od stołu. Pospiesznie ruszam za nią. Po kilku krokach słyszymy głos ojca:

– Nie wychodźcie, proszę!

Ale May, w typowy dla siebie sposób, tylko się śmieje.

– Dziś wieczorem pracujemy. Nie czekajcie na nas.

Gdy idę za nią po schodach, towarzyszą nam głosy rodziców, które tworzą fałszywie brzmiącą piosenkę. Mama podaje linię melodyczną: „Współczuję waszym przyszłym mężom. Wciąż tylko »Potrzebuję nowych butów«. »Chcę nową sukienkę«. »Kupisz nam bilety do opery?«”. Baba, swoim grubym głosem, uderza w niskie tony: „Wracajcie tutaj! Wracajcie, proszę! Muszę wam coś powiedzieć!”. May zupełnie ignoruje rodziców, ja też próbuję to zrobić, podziwiając to, jak po prostu nie słyszy ich głosów i brzmiącej w nich natarczywości. Pod tym względem – i wieloma innymi – jesteśmy zupełnym przeciwieństwem.

W przypadku dwóch sióstr – czy w ogóle rodzeństwa, niezależnie ani od ich liczby, ani płci – porównania same się narzucają. May i ja urodziłyśmy się w wiosce Yin Bo, niespełna dzień drogi na piechotę od Kantonu. Są między nami tylko trzy lata różnicy, ale nie mogłybyśmy bardziej się różnić. Ona jest zabawna, mnie zarzuca się zbytnią powagę. Ona jest drobna i uroczo okrągłutka, ja – wysoka i szczupła. May, która właśnie zakończyła naukę na szkole średniej, nie lubi czytać nic poza rubrykami towarzyskimi w czasopiśmie, ja pięć tygodni temu ukończyłam college.

Pierwszym językiem, jakiego się nauczyłam, był sze yup, dialekt używany w Czterech Okręgach w prowincji Kwangtung, skąd pochodzimy. Od piątego roku życia uczyli mnie Amerykanie i Anglicy, więc mój angielski jest niemal perfekcyjny. Uważam, że mówię płynnie czterema językami: brytyjskim angielskim, amerykańskim angielskim oraz dialektami sze yup (jednym z wielu dialektów kantońskich) i wu (unikatową wersją mandaryńskiego, którą mówi się tylko w Szanghaju). Mieszkam w mieście kosmopolitycznym, posługuję się więc angielskimi nazwami chińskich miast i prowincji, jak Kanton, Chungking czy Yunnan; na chińskie sukienki mówię po kantońsku *cheongsam*, a nie po mandaryńsku *ch'i pao*; używam wymiennie mandaryńskiego *yang-kueitzü* – obce diabły – i kantońskiego *lo fan* – białe zjawy – mając na myśli cudzoziemców; a gdy mówię o May, nazywam ją po kantońsku *moy-moy*, moją młodszą siostrą, zamiast po mandaryńsku *mei-mei*. Ona nie ma zdolności do nauki języków. Przeprowadziliśmy się do Szanghaju, kiedy była jeszcze niemowlęciem, i nie nauczyła się sze yup z wyjątkiem kilku słów na określenie

pewnych naczyń i składników. Zna tylko język angielski i dialekt wu. Nie wdając się w specyficzne cechy tych dialektów, powiem tylko, że mandaryński i kantoński mają ze sobą tyle wspólnego, ile angielski i niemiecki – są spokrewnione, ale jeśli ktoś zna tylko jeden z nich, nic z drugiego nie zrozumie. Dlatego też rodzice i ja czasami wykorzystujemy niewiedzę May i posługujemy się sze yup, żeby wywieść ją w pole.

Mama twierdzi, że May i ja nie potrafiłybyśmy się zmienić, nawet gdybyśmy bardzo się starały.

Moja młodsza siostra powinna być pogodna i potulna jak Owca, w której roku się urodziła. Jak twierdzi Mama, to najbardziej kobiecy ze wszystkich znaków. Owca ma zdolności artystyczne, interesuje się modą, jest pełna współczucia. Potrzebuje kogoś, kto by się nią opiekował, kto zapewniłby jej wikt, dach nad głową i odzienie. Jednocześnie znana jest z tego, że przytłacza innych swoim uczuciem. Szczęście uśmiecha się do niej z powodu jej łagodności i dobrego serca, ale – i według Mamy jest to poważne „ale” – czasami Owca myśli tylko o sobie i o swojej wygodzie.

Mnie z kolei, jako Smoka, trawi ciągle pragnienie, które nigdy nie zostanie zaspokojone. „Nie ma takiego miejsca, do którego byś nie doszła na swoich wielkich klapiących stopach” – często mówi mi Mama. Smok, najsilniejszy ze znaków, ma jednak swoje wady. „Jest lojalny, wymagający, odpowiedzialny, to prawdziwy poskramiacz przeznaczenia – powiedziała mi kiedyś – ale tobie, moja Pearl, zawsze będzie trudniej ze względu na to, co wychodzi z twoich ust”.

Czy zazdrościsz siostrze? Jak mogłabym, skoro nawet ja ją uwielbiam? Mamy wspólny przydomek pokoleniowy – *Lung*, czyli Smok. Ja nazywam się więc Perłowy Smok, a May – Piękny Smok. Przybrała zachodnią wersję swojego imienia, ale w mandaryńskim *mei* to jedno ze słów na określenie czegoś pięknego, i May taka właśnie jest. Jako starsza siostra muszę się nią opiekować, czuwać, żeby podążała właściwą ścieżką, ale pobłażam jej, bo jest taką niezwykłą istotą i obiektem miłości w naszej rodzinie. Tak, od czasu do czasu się na nią złościę, na przykład: kiedy włożyła moje ulubione włoskie buty z różowego jedwabiu, na wysokich obcasach, i zniszczyła je na deszczu. Ale, co ważne, May mnie kocha. Jestem jej starszą siostrą. W hie-

rarchii chińskiej rodziny zawsze będę nad nią, nawet jeśli rodzina nie kocha mnie tak jak ją.

Po wejściu do naszego pokoju widzę, że May już zdjęła sukienkę, rzucając ją na podłogę. Zamyka za mną drzwi i zostajemy w naszym świecie pięknych dziewcząt. Mamy takie same łóżka z białymi lnianymi baldachimami o niebieskim rąbku i haftem w glicynie. W większości sypialni w Szanghaju wisi plakat albo kalendarz przedstawiający piękne dziewczęta, ale u nas jest ich kilka. Ponieważ same jesteśmy modelkami, do powieszenia na ścianach wybrałyśmy nasze własne ulubione wizerunki: May, usadowiona na sofie w żółtozielonej jedwabnej kurtce, trzyma w dłoni firkę z kości słoniowej, w której tkwi papieros marki Hatamen; ja w gronostajach siedzę z podciągniętymi pod brodę kolanami na tle obramowanej kolumnady przed jakimś baśniowym jeziorem i patrzę przed siebie, sprzedając różowe pigułki doktora Williama ludziom o bladej cerze (kto może być lepszym sprzedawcą tych pigułek niż osoba o naturalnie różowych policzkach?); i wreszcie my obie w jakimś stylowym buduarze: każda z nas trzyma w ramionach tłusciutkiego synka – symbol bogactwa oraz prosperity – i reklamuje mleko w proszku dla niemowląt, aby zademonstrować, że jesteśmy nowoczesnymi matkami, które używają najnowszych wynalazków, wychowując nowoczesne potomstwo.

Przecinam pokój i podchodzę do May, która stoi przy szafie. Właściwie dopiero teraz zaczyna się dla nas dzień. Tego wieczoru mamy pozować Z.G. Li, najlepszemu malarzowi specjalizującemu się w kalendarzach z pięknymi dziewczętami, plakatami i ogłoszeniach reklamowych. Większość rodziców byłaby zgorszona, gdyby ich córki pozowały artystom i często wychodziły na cały wieczór. Początkowo nasi też mieli zastrzeżenia. Ale gdy zaczęłyśmy zarabiać pieniądze, przestało im to przeszkadzać. Baba bierze nasze oszczędności i inwestuje je, mówiąc, że gdy poznamy przyszłych mężów, zakochamy się i postanowimy za nich wyjść, będziemy mogły przenieść się pod ich dach z własnymi pieniędzmi.

Wybieramy pasujące do siebie *cheongsam*, które świadczą o guście i stylu, a jednocześnie sugerują świeżość i swobodę, będące obietnicą wiosennego szczęścia dla wszystkich, którzy zdecydują się używać reklamowanych przez nas produktów. Ja wyjmuję brzoskwińową

jedwabną z czerwoną lamówką. Jest tak obcisła, że krawcowa musiała zrobić bardzo śmiałe wysokie rozcięcie z boku, abym mogła chodzić. Ozdobne zapięcie z tej samej czerwonej lamówki, które biegnie przy szyi, przechodzi przez pierś, pod pachę i dalej prawym bokiem w dół. May wkłada *cheongsam* z jasnożółtego jedwabiu w drobne białe kwiatki z czerwonymi środkami. Lamówka i zapięcia są w takim samym głębokim odcieniu czerwieni jak przy mojej sukni. Sztywny kołnierzyk mandaryński sięga tak wysoko, że aż dotyka uszu May; krótkie rękawy podkreślają szczupłość jej ramion. Gdy moja siostra nadaje brwiom kształt młodych liści wierzby – długich, wąskich i gładkich – ja nakładam na twarz biały ryżowy puder, żeby zamaskować różowe policzki. Potem wsuwamy stopy w czerwone pantofle na wysokich obcasach i malujemy usta na ten sam kolor.

Ostatnio obcięłyśmy nasze długie włosy i zrobiłyśmy sobie trwałą ondulację. May wyznacza mi teraz przedziałek pośrodku głowy i zakłada loki za uszy, gdzie puszą się jak czarne peonie. Potem z kolei ja czeszę ją, układając jej loki wokół twarzy. Na koniec wkładamy różowe wiszące kolczyki, pierścionki z nefrytu i złote bransoletki. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze. Widzimy w nim także nasze zwielokrotnione twarze z plakatów. Stoimy tak przez chwilę, nie mogąc się na siebie napatrzeć. May ma osiemnaście lat, a ja dwadzieścia jeden. Jesteśmy młode, jesteście piękne i mieszkamy w Paryżu Azji.

Stukając obcasami, schodzimy na dół po schodach, rzucamy rodzicom pospieszne „do widzenia” i wychodzimy w szanghajski wieczór. Nasz dom znajduje się w dzielnicy Hongkew, tuż za kanałem Soochow. Nie należy do International Settlement, ale stoi na tyle blisko niego, że w razie czego nie grozi nam obca inwazja – a przynajmniej taką mamy nadzieję. Nie jesteśmy bardzo bogaci, ale czy nie jest to zwykle kwestia umowna? Według Anglików, Amerykanów czy Japończyków mamy z czego żyć, dla Chińczyków opływamy w dostatki, choć niektórzy nasi rodacy w tym mieście są bogatsi niż wielu cudzoziemców razem wziętych. Należymy do *kateng Huajen* – lepszych Chińczyków – i wyznawców *ch'ung yang*: wielbimy wszystko, co pochodzi z zagranicy, przybieramy zachodnie imiona, kochamy zachodnie filmy, bekon i ser. Jako *bu-er-ch'iao-ya*, burżuazji, dobrze nam się powodzi, siedmioro naszych służących jada posiłki

na zmianę, siedząc na schodach przed domem i dając do zrozumienia okolicznym riksarzom i żebrakom, że ci, którzy pracują u Chinów, są regularnie karmieni i mają pewny dach nad głową.

Idziemy na róg i targujemy się z kilkoma młodymi riksarzami bez butów i koszul, żeby uzyskać jak najlepszą cenę. Potem wsiadamy do rikszy, zajmując miejsca obok siebie.

– Do French Concession – rzuca May.

Mięśnie chłopaka się napinają, gdy pociąga rikszę. Zaczyna biec i wpada w odpowiedni rytm, a wtedy pojazd rozpędza się na tyle, że ciągnięcie go nie jest już takim obciążeniem dla ramion i pleców. Tak to wygląda – ciągnie nas jak jakiś balast, ale jedyne, co czuję, to wolność i swoboda. W ciągu dnia, gdy idę na zakupy, w odwiedzi-ny do kogoś czy uczyć angielskiego, chowam się pod parasolką. Ale wieczorem nie muszę się już troszczyć o cerę. Siedzę wyprostowana i wciągam powietrze w płuca. Zerkam na May. Jest taka beztroska, że pozwala, aby suknia trzepotała jej na wietrze i odsłaniała udo. Flirciara z niej i nie mogłaby się znaleźć w odpowiedniejszym miejscu niż Szanghaj, żeby ćwiczyć swoje umiejętności w tym zakresie, popisywać się swoim śmiechem, piękną skórą, czarującą rozmową.

Przejeżdżamy przez most nad kanałem Soochow, a potem skręcamy w prawo, oddalając się od rzeki Whangpoo i woni oleju, wodorostów, węgla oraz ścieków. Kocham Szanghaj. Nie przypomina żadnego innego miasta w Chinach. Zamiast dachów w kształcie jaskółczych ogonów i glazurowanych płytek mamy tu *mo t'ien talou* – wspaniałe wielkie budynki – które sięgają aż do nieba. Zamiast księżycowych bram, zapór dla duchów, kunsztownie rzeźbionych krat okiennych i czerwonych filarów z laki – neoklasycystyczne gmachy z granitu, zdobione ornamentami z kutego żelaza w stylu art déco, geometrycznymi deseniami i trawionym szkłem. Zamiast bambusowych gajów nad strumykami albo wierzb dotykających gałązkami powierzchni stawów mamy europejskie wille z jasnymi fasadami i eleganckimi balkonami, rzędy cyprysów, starannie utrzymane trawniki i nieskazitelne rabaty kwiatów. W Starym Chińskim Mieście są jeszcze dawne świątynie i ogrody, ale reszta Szanghaju ukłękła już przed bożkami handlu, bogactwa, przemysłu – i grzechu. Mamy domy towarowe, przed którymi wyładowuje się i załadowuje towa-

ry, tory wyścigowe dla psów i koni, niezliczone kina i kluby, w których się tańczy, pije i uprawia seks. Szanghaj to miejsce, w którym mieszkają milionerzy i żebracy, gangsterzy i hazardziści, patrioci i rewolucjoniści, artyści i watażkowie, no i rodzina Chinów.

Rikszarz wiezie nas szerokimi alejami, którymi podążają piesi, riksze ciągnięte i pchane niczym taczki z ławką do przewożenia klientów, a potem skręca w Bubbling Well Road. Wbiega truchtem na elegancki bulwar, nie bojąc się warczących chevroletów, daimlerów i isotta-fraschini, które przemykają obok. Gdy zapala się czerwone światło, na ulicę wpadają żebrzące dzieci, które otaczają naszą rikszę i szarpiają nas za sukienki. Każda przecznica przynosi woń śmierci i rozkładu, imbiru i pieczonej kaczki, francuskich perfum i kadzidełek. Krzykliwe głosy rodowitych mieszkańców Szanghaju, miarowy stukot drewnianych liczydeł, turkot riksz toczących się ulicami stanowią akompaniament, który mówi mi, że to mój dom.

Rikszarz zatrzymuje się na granicy między International Settlement a French Concession. Płacimy mu, przechodzimy przez ulicę, omijając martwe niemowlę zostawione na chodniku, znajdujemy innego rikszarza, który ma pozwolenie na poruszanie się po French Concession, i podajemy mu adres Z.G. przy Avenue Lafayette.

Ten chłopak jest jeszcze brudniejszy i bardziej spocony niż poprzedni. Podarta koszula ledwie skrywa gruzowaty szkielet, w jaki zmieniło się jego ciało. Waha się, gdy ma wjechać na Avenue Joffre. To wprawdzie francuska nazwa, ale ulica stanowi centrum dzielnicy białych Rosjan. Nad głowami wiszą szyldy z cyrylicą. Wdychamy zapach świeżego chleba i ciastek z rosyjskich piekarni. Z klubów dochodzą już dźwięki muzyki i tańców. W miarę jak zbliżamy się do mieszkania Z.G., okolica znowu się zmienia. Mijamy Seeking Happiness Lane, przy której znajduje się ponad sto pięćdziesiąt burdeli. To z tej ulicy wybierane są co roku Sławne Kwiaty Szanghaju – najzdolniejsze prostytutki w mieście, których zdjęcia trafiają na okładki czasopism.

Rikszarz wysadza nas pod wskazanym adresem i płacimy mu. Gdy idziemy rozwalającymi się schodami na trzecie piętro budynku, w którym mieszka Z.G., zakładam loki za uszy, zaciskam usta i poruszam nimi, żeby rozprowadzić szminkę, i poprawiam sukien-

kę, żeby idealnie układała się na biodrach. Kiedy Z.G. otwiera nam drzwi, znowu uderza mnie jego uroda: gęste, niesforne czarne włosy, drobna sylwetka, duże okrągłe druciane okulary, to intensywne spojrzenie i sposób bycia, które świadczą o nieprzespanych nocach, artystycznym temperamentem i żarliwości politycznej. Może jestem wysoka, ale on jest jeszcze wyższy. To jedna z wielu rzeczy, które w nim uwielbiam.

– Idealnie się ubrałyście! – wykrzykuje z entuzjazmem. – Wchodźcie, wchodźcie!

Nigdy nie wiemy dokładnie, co zaplanował na kolejną sesję. Bardzo popularne są ostatnio dziewczyny szykujące się do zanurkowania w basenie, do gry w minigolfa, naciągające cięciwy łuku, aby posłać w niebo strzałę. Kobiety zdrowe i wysportowane to ideał. Kto najlepiej wychowa małych Chińczyków? Odpowiedź: Kobieta, która umie grać w tenisa i prowadzić samochód, pali papierosy i wciąż wygląda na bezpośrednią, wyrafinowaną i tak pociągającą, jak się tylko da. Czy dziś Z.G. zechce, abyśmy udawały, że wybieramy się na popołudniową herbatkę z tańcami? Czy wymyśli coś zupełnie nierealnego, prosząc, żebyśmy przebrały się w wypożyczone kostiumy? Czy May stanie się Mulan, kobietą wojownikiem, przywróconą do życia, żeby reklamować wino Parrot? Czy ja zostanę przedstawioną jako panna Du Liniang, postać z *Pawilonu Peonii*, żeby wychwalać walory mydełka Lux?

Prowadzi nas na scenę, którą przygotował: przytulny kąt z pokrytym tapicerką fotelem, kunsztownie rzeźbionym chińskim parawanem i tradycyjnie zdobionym ceramicznym dzbankiem, w którym stoi kilka gałązek kwitnącej śliwy stwarzających wrażenie świeżości.

– Dziś reklamujemy papierosy My Dear – oznajmia. – May, chciałbym, żebyś usiadła na fotelu. – Gdy May stosuje się do jego sugestii, Z.G. cofa się i przygląda jej w skupieniu. Uwielbiam go za delikatność, z jaką odnosi się do mojej siostry. W końcu jest młoda, a to, co robimy, uchodzi za dość ryzykowne jak na dziewczyny z dobrego domu. – Przybierz leniwą pozę – prosi – jakbyś spędziła całą noc poza domem i chciała zwierzyć się przyjaciółce z jakiegoś sekretu.

Po upozowaniu May przywołuje mnie. Kładzie mi ręce na biodrach i każe usiąść na oparciu fotela, na którym siedzi moja siostra.

Barwna saga obyczajowa rozgrywająca się w Szanghaju i Kalifornii w latach 1937-1957.

Szanghaj 1937 roku – miasto bogaczy i żebraków, gangsterów i hazardzistów, patriotów i rewolucjonistów, artystów i dygnitarzy wojskowych – nazywany jest Paryżem Azji. Dwie siostry, dwudziestoletnia Pearl i młodsza May, panienki z bardzo zamożnej rodziny, wiodą tam luksusowe, beztrudne życie. Wszystko się zmienia, gdy ojciec na skutek hazardu traci cały majątek, a napadnięty przez Japończyków kraj pogrąża się w straszliwej wojnie. Aby ratować rodzinę, dziewczęta wbrew swojej woli muszą poślubić dwóch braci, bogatych Chińczyków z Los Angeles. Po niebezpiecznej podróży przez ogarniętą wojną Chiny i wielomiesięcznym, pełnym upokorzeń pobycie w amerykańskim obozie dla uchodźców docierają wreszcie do mężów: z bagażem tragicznych doświadczeń i z wielką tajemnicą. Nie wiedzą, że także w ich nowej rodzinie każdy ma coś do ukrycia i nikt nie jest tym, za kogo się podaje.

„Jeśli szukasz cudownej powieści, która przeniesie Cię do egzotycznego, nieznanego świata, nie znajdziesz nic lepszego niż *Dziewczęta z Szanghaju*”. Arizona Daily Star

„*Dziewczęta z Szanghaju* to jedna z tych książek, od których nie można się oderwać: historia bohaterki pochłania czytelnika bez reszty”. St. Louis Post-Dispatch

LISA SEE jest autorką bestsellerów: *Kwiat Śniegu i sekretny wachlarz*, *Na Złotej Górze*, *Miłość Peonii*. Wkrótce ukaże się *Sieć rozkwitającego kwiatu*. Jej książki zostały przetłumaczone na 30 języków i sprzedane w wielomilionowych nakładach.

www.swiatksiazki.pl